

Jak zostałem Rijkaardem! * Italia zmieniła moje życie * Gary, niech cię szlag... *

- Gool, Proszę Państwa, Włodzimierz Smolarek! – z błogiej dziecięcej drzemki wyrwał mnie charakterystyczny głos Dariusza Szpakowskiego, komentującego na antenie telewizji mecz Polaków z Portugalią na Mundialu w Meksyku w 1986 roku. Miałem wtedy sześć lat i nawet nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, że właśnie rozpoczyna się dla mnie życiowa misja sportowego kibica i sprawozdawcy.

Wtedy Polacy wygrali 1:0, a ja dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że skądinąd przeżyłem historyczną chwilę – to był jedyny gol jaki na tamtych mistrzostwach zdobyliśmy i trochę taki symbol głębokiego kryzysu naszego futbolu, jaki dopiero miał na dobrą sprawę nadejść.

Piłką nożną i sportem zacząłem tak na dobre interesować się dopiero później, pod koniec lat 80. Akurat wtedy na topie był głównie włoski AC Milan z holenderskim, gwiazdorskim tercetem – Marco van Bastenem, Ruudem Gullitem i Frankiem Rijkaardem. Wychowywałem się w małej wsi Nowy Odrowążek na północy Kielecczyzny. Trzydzieści lat temu dzieciaki nie miały tam innych atrakcji, jak tylko gra w piłkę gdzieś na nieużytkowanych pastwiskach, czy pod lasem z dala od domostw. Starsze pomagały w gospodarstwach, ale sport ogólnie był na topie, tyle, że w wydaniu czysto amatorskim i pasjonackim. W szkole podstawowej graliśmy z kolei na betonowym boisku i często nazywaliśmy się właśnie „Guulitami”, „van Bastenami” czy „Rijkaardami”. My z Nowego Odrowążka byliśmy Milanem, chłopaki z Odrowążka (nazwaliśmy go „starym”) to był dla nas „Niverpul”. Rzecz jasna chodziło o angielską legendę, FC Liverpool, która to zresztą w tamtym okresie była potęgą, ale nielubianą w Europie ze względu na liczne chuligańskie wybryki kiboli. My przeważnie kopaliśmy biedronówki, bądź gumowe piłki, które szybko lądowały na drewnianych deskach i przebijały je gwoździe. Dopiero, kiedy mój ojciec wrócił z zagranicznego kontraktu z Leningradu i przywiózł futbolówkę z indyjskiej skóry, człowiek miał wreszcie

rarytas jak diabli! Dbałem o nią, przetrwała cztery lata, choć też niejednokrotnie była zszywana...

Impulsem do kopania futbolówki były dla mnie jednak tak naprawdę dopiero Mistrzostwa Świata we Włoszech w 1990 roku. Ale bohaterami moimi (i moich rówieśników) wcale nie byli Polacy. Ot bardziej znałem wyżej wymienionych Holendrów, Kameruńczyka Rogera Millę tańczącego przy narożnikach po strzelonych bramkach, wiedziałem oczywiście kto to Diego Maradona, Lothar Matthaeus, ale – o dziwo - najbardziej „kręciła” mnie gra blondwłosego Argentyńczyka Claudio Caniggi, czy choćby Czecha Thomasa Skuhravego, albo brytyjskiego weterana w bramce Lwów Albionu Petera Shiltona, ekstrawaganckiego Kolumbijczyka Carlosa Valderramy, strzegącego „świątyni” Kolumbijczyków. Po brzydkim finale wygranym przez Niemców zachodnich napisałem w swoim kajecie, gdzie skrupulatnie notowałem wyniki Mundialu wielkimi literami „RFN MISTRZEM ŚWIATA”. Pewne było jedno - turniej w słonecznej Italii bezpowrotnie już zmienił moje życie, banalnie od momentu gdy zobaczyłem jak w meczu otwarcia broniąca tytułu Argentyna przegrała z Kamerunem 0:1. Fachowcy i różni specjaliści dziś oceniają, że tamten mundial był nudny, ale dla mnie chyba jedyny w swoim rodzaju. Pierwszy! Potem już nic nie było takie samo, piłka zawładnęła moim życiem, choć jako dziesięciolatek nie zdawałem sobie do końca sprawy, jak rodzi się we mnie coś szczególnego. Wtedy po prostu bawiłem się tym i chłonałem jak gąbka wiedzę o piłkarzach, drużynach, stadionach, miastach. Obok szkoły działał jeszcze wtedy jedyny w okolicy kiosk. Tam któregoś dnia kupiłem piłkarzyki i “dogrywałem” te mecze z Włoch na swojej planszy. Czułem niedosyt po tym, co widziałem w telewizji. Było mi mało. Grając piłkarzykami analizowałem - może ten powinien kopnąć tu, a nie tak, jak uczynił w prawdziwym meczu. Ot, nauka taktyki możliwa dzięki zwykłej zabawie z kulą z łożyska. Dla chcącego nic trudnego. Niestety, sprzętyny w piłkarzykach długo nie wytrzymały. Po włoskich mistrzostwach były już mocno zużyte.

Mecze reprezentacji Polski zacząłem regularnie śledzić dopiero w 1991 roku. Ekipa Andrzeja Strzelała walczyła akurat o przepustki na Euro 92 w Szwecji. Pamiętam mecz z Turcją, który wygraliśmy 3:0, choć był nerwowy i szarpany.

Gole zdobyli wtedy dwaj przedstawiciele rocznika 1962 – Ryszard Tarasiewicz i Jan Urban, trzeciego dołożył Roman Kosecki (rocznik 66). Aż mi żal „cztery litery” ściska, ile byśmy dali za taki wynik z Turkami na przykład dekadę później, jakie oni zrobili postępy, a jakie my... Lata dziewięćdziesiąte przepracowali piłkarze znad Bosforu solidnie. Wtedy, w 1991 roku, nikt się jeszcze na poważnie z nimi nie liczył w Europie, a tym bardziej w świecie. A teraz pytanie, drodzy kibice – pamiętacie tego skurczybyka Gary’ego Linekera? He He, pytanie retoryczne. Anglik o niewinnej twarzy młodzieniaszka z collegu okazał się być katem polskiej piłki na przełomie lat 80. i 90. Jesienią decydowały się losy awansu do Euro, nawet przez jakiś moment mieliśmy awans w ręku. W ostatniej kolejce Turcy niespodziewanie prowadzili z Irlandią, a my w Poznaniu wygrywaliśmy z Anglikami po голу Romana Szewczyka 1:0. Ależ było to wszystko cholernie blisko! Ale Angole mieli tego Linekera. Zawsze potrafił się znaleźć w polu karnym. Taki „lisek-chytrusek”. Przechytrzył polską obronę na kwadrans przed końcem, gdy pierdyknął nożycami i Józef Wandzik był bez szans... Mecz zakończył się remisem 1:1, który nic nam de facto nie dawał, bo to nie my mieliśmy na to Euro do Szwecji jechać. Co pamiętam jeszcze – angielskich kiboli, w tamtym czasie cieszących się złą sławą. W końcu to było raptem sześć lat po słynnej tragedii na stadionie Heysel... Tamta jesień 1991 była dla mnie smutna. Marzyłem tak bardzo, żebyśmy kiedyś tych Angoli butnych załatwili, żeby ten Lineker wreszcie zakończył karierę i nas nie katował. Gdybym mógł, powiedziałbym mu wtedy swym szczeniackim głosem – Gary, niech cię szlag! Co ty nam zrobiłeś i czemu nas tak krzywdzisz? Tak właśnie, to Lineker zaczął mi uświadamiać, że piłka – w całym swoim pięknie i uroku – bywa również okrutna. Człowiek musiał czegoś na osłodę poszukać w końcu i znalazł! Długo to trwało, bo całą zimę i kawał wiosny.

Całkiem udany i historyczny już dziś dla polskiej piłki kopanej rok 1992 wcale jednak nie rozpoczął się dla biało-czerwonych tak różowiotko... Wybrańcy Andrzeja Strejlaua pojechali do Szwecji, owszem – ale nie na Mistrzostwa Europy, lecz majową towarzyską potyczkę z drużyną Trzech Koron, która szykowała się akurat do roli gospodarzy tej imprezy. Biało-czerwoni dostali

łomot okropny, 0:5... uff, jakie szczęście, że dowiedziałem się o wszystkim dopiero pod koniec relacji na antenie Pr. 1 Polskiego Radia, a nie przyszło męczyć się przed ekranem TV. To był jeden blamaż, a o drugi niestety postarała się olimpijska reprezentacja prowadzona przez trenera Janusza Wójcika. Młodzieżówka walczyła akurat o awans do turnieju piłkarskiego na olimpiadę w Barcelonie. Drużyna, która jeszcze pół roku wcześniej radziła sobie z powodzeniem z równolatkami z Anglii czy Irlandii (ogrywając obie ekipy), teraz mierzyła się z Duńczykami w Aalborgu. Ależ nam zafundowała występ... Totalny nieład, brak pomysłu na grę, nie podjęła walki. Skończyło się również na 0:5 i wypadało sobie zacząć wybijać z głowy igrzyska w stolicy Katalonii. W rewanżu w Polsce zremisowaliśmy 1:1, a bramkę w końcówce zdobył Andrzej Juskowiak. Nie pamiętam dalszych regulaminowych niuansów, ale tak się stało, że ten gol i ta bramka zapewniły nam jednak bilety do Hiszpanii. Wtedy poznałem znaczenie terminu „kuchenne drzwi”. Mało kto w ogóle spodziewał się, że chłopaki „Wójta” cokolwiek zwojują w tej słonecznej Barcelonie, mowa o medalu. Ponieważ jednak nadeszły już wakacje, mogłem do woli śledzić relacje telewizyjne z przygotowaniach młodzieżówki do olimpiady. Na kogo liczyłem oprócz „Józka”. Ano właśnie! Tu muszę się zatrzymać, nawet wrócić do 1991 roku i meczów Legii Warszawa z Sampdorią Genua w ćwierćfinale Pucharu Zdobywców Pucharów. Włochów na czele z Gianluca Viallim, Roberto Mancinim czy łysiejącym wtedy Massimo Lombardo pognębił 19-letni wtedy młokos z warszawskiego Bródna. Zwał się Wojciech Kowalczyk! Polubiłem „Kowala” za te bramki, za styl bycia, za to, że dla mnie jako dzieciaka stał się pewną nadzieją. Skoro ojciec miał Deynę, Latę (zaznaczam – jako piłkarza, nie polityka, działacza i prezesa PZPN) czy Szarmacha, dlaczego ja miałbym nie mieć swojego piłkarza, którego mógłbym darzyć szczególną sympatią. Wojtek wybijał się wtedy do pierwszej reprezentacji, wchodził doń prawdziwym przebojem. No i był to taki gość, którego mógłbym na przykład traktować jak starszego brata, co to tłumaczy jak bramki strzelać należy. Tak więc pokładałem nadzieję w „Kowalu”, Juskowiaku, także Aleksandrze Kłaku, bramkarzu, w którym widziałem w przyszłości golkipera z prawdziwego zdarzenia w dorosłej reprezentacji.

Lato 1992 stało się dla mnie bezapelacyjnie jednym z najpiękniejszych okresów w kibicowskim życiu (nawet do tej pory, mimo, iż przekroczyłem już czterdziestkę). O pierwszym meczu z Kuwejtem mogę powiedzieć tyle, że dwie bramki zdobył Juskowiak i karnego niemiłosiernie spartolił Mirosław Waligóra... Prawdziwe emocje przysły dopiero w drugim spotkaniu olimpijskiego turnieju z Włochami, wówczas młodzieżowymi mistrzami Europy z Demetrio Albertinim i Dino Baggio na czele. Chyba nas zlekceważyli, bo potem srodze się zawiedli. Cattenacio w wydaniu młodzieżowym nie poskutkowało, wzięło w łeb, gdy do roboty wzięli się gracze Wójcika. Juskowiak, Ryszard Staniek (wywiad z nim zamieściłem w dalszej części) i Grzegorz Mielcarski dobili pewnych siebie Włochów. O matko! 3:0 z Włochami! Nawet jeśli chodziło o mecz młodzieżówek na niedocenianym jeszcze wtedy turnieju olimpijskim, to jednak robiło piorunujące wrażenie. Po remisie ze Stanami Zjednoczonymi (2:2) oraz zwycięstwie z egzotycznym Katarzem (2:0) dostaliśmy się do półfinału. Tu czekała Australia. Wygraliśmy 6:1, ale ci, co ów mecz dobrze pamiętają nigdy nie powiedzą, że to było to łatwe spotkanie. Wprost przeciwnie! Zwłaszcza w pierwszej połowie męczyliśmy się okrutnie. Wprawdzie wygrywaliśmy 2:1, ale ci rywale z Antypodów nie prezentowali się jak przysłowiowe piłkarskie ogórki. Z tego co pamiętam mieli w swych szeregach nawet zawodników posiadających rodzinne korzenie w byłej Jugosławii, twardzi byli i nieustępliwi. Dopiero po przerwie pękli pod białą-czerwoną nawałnicą! Kowalczyk, Juskowiak oraz spółka rozbili Australijczyków w pył. Ojciec wspominał, że podobnie było dziesięć lat wstecz, gdy drużyna Antoniego Piechniczka pokonała Peru (5:1) na Mundialu także w Hiszpanii. W ogóle z ojcem w czasie tamtego wieczoru historia była bardzo ciekawa. Początek sierpnia to był czas żniw. Młockarnia krążyła we wsi, od jednego gospodarstwa do drugiego. Młóciła zboże od rana do późnego wieczora, akurat u nas już koło dwudziestej, w czasie półfinału. To był bardzo ciepły, wręcz upalny czas. Ojciec co jakiś czas przerywał robotę, podchodził do okna mojego pokoju i wtedy pytał z ciekawością o wynik, po czym wracał do stodoły. Ja pełniłem rolę sprawozdawcy. Potem, gdy już obejrzał powtórki meczu, mówił, że gra naszych młodzieżowców przypomina mu zabójcze kontrataki reprezentacji z lat 70. i 80. Wielką sprawą

było słyszeć dla mnie coś podobnego, gdyż ojciec wiele mi opowiadał o Orłach Górskiego, bohaterach jego młodości.

Po triumfie nad Australią wpadłem w dużą euforię! Z kim gramy w finale? Z Hiszpanią! Fakt, silni gospodarze, może nawet lepsi technicznie, ale przed tą naszą kontrą nie będą w stanie się zabezpieczyć. Tak myślałem! Finał w obecności 90 tysięcy widzów na legendarnym Camp Nou w Barcelonie nawet przed telewizorem mógł przyprawić o mocny dreszczyk podniecenia. Kurcze, co by się dopiero działo, gdyby człowiek siedział tamże w środku całego kotła!!! Zaczyna się właśnie historyczny mecz, w pierwszej połowie radzimy sobie jak równym z równym, choć trochę piłkarskich szachów też było. Graliśmy trochę zachowawczo, Hiszpanie też nie kwapili się jakoś do skomasowanych ataków. Wreszcie w 44 minucie Kowalczyk wyłuskał przed polem karnym piłkę niejakiemu Lopezowi, znalazł się sam na sam przed bramkarzem rywali i celnie przymierzył tuż przy słupku! Gooooo!!!! O kurde, a to się porobiło! Jest przerwa, łapę z ganku piłkę z indyjskiej skóry i pędzę z nią na bramę. Koniecznie musiałem przymierzyć tuż przy słupku. Tak jak „Kowal”. Raz się nie udało, to ponownie, ale majstersztyk musi być! Najwyżej ojciec nowe sztachety wprawi! Po kwadransie wracam przed TV, a piłkarze na płytę barcelońskiego „piekła”. Akurat we wsi odbywały się żniwa, pracowały maszyny, ale ich hałas był zagłuszany. Tylko ojciec, znów zajęty robotą z innymi co jakiś czas podbiegał do okna i pytał, jaki wynik. Długo tym prowadzeniem się nie nacieszyliśmy... - I gol, Alfonso. Nie, Abelardo... - zakomunikował Dariusz Szpakowski, gdy Hiszpanie wyrównali na 1:1. Potem prowadzenie dał im niejaki Kiko... - Kur... - wyrwało mi się mimochodem. Ale nadzieje dał jeszcze Ryszard Staniek, który na kwadrans przed końcem wyrównał stan meczu na 2:2. Widziałem w oczach naszych orłów zmęczenie, ale i nadzieje. Dużo ich kosztował ten pojedynek w katalońskiej niecce, w parny, sierpniowy wieczór. Martwiłem się, jak wytrzymamy dogrywkę, ale niepotrzebnie, bo nawet do niej nie dotrwaliliśmy. W ostatniej minucie błąd naszej obrony wykorzystał Kiko Narvaez (wywiad z nim w dalszej części książki). Przegraliśmy 2:3... Siedzę przed tym ekranem i łyzy napływają do oczu. Kurde, nie przeżyłem tak nawet tej bramki Linekera w Poznaniu. A tu

dałem upust emocjom. Cisza, nic nie mówię. Ojciec podbiega do okna, mówię mu co i jak... Cholera, czemu to się akurat tak potoczyło, dlaczego w tym meczu, w tej minucie, w tej sekundzie...